№ 30. Warszawa, dnia 11 (23) Lipca 1887 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

SYLWETKI LITERACKIE.

PRZEZ

T. J. Choińskiego.

II.

Walerya Marrené-Morzkowska.

W galeryi sylwetek współczesnych beletrystek polskich należałoby się właściwie pierwsze miejsce Waleryi Marrenowej (Morzkowskiej), gdyż pierwiosnki jej twórczości artystycznej przypadają na epokę przed rokiem 1863.

Wpływy innych czasów przejawiają się rzeczywiście w powieściach Marrenowej. Nie ma w nich jeszcze owych „nowych haseł" i nowych bohaterów, które Orzeszkowa wprowadziła do beletrystyki.

Nie inżenierowie, kupcy, przemysłowcy, przyrodnicy i t. p. mężowie „praktyczni" skupiają w powieściach Marrenowej główną uwagę czytelnika, jeno ludzie, pochodzący ze sfer, zowiących się „towarzystwem", ba, nawet „światem", jakby po za nimi nie było ludzi, godnych uwzględnienia.

W „Róży", w „Błękitnej książeczce", w „Walce", w „Jerzym", w „Mężu Leonory", w „Auguście" i w innych utworach Marrenowej stoją na pierwszym planie ludzie zamożni, pochodzenia szlacheckiego. Tam, gdzie chce naśladować Orzeszkową, jak w „Mężowie i żony", traci ręka jej pewność rysunku. Jej osoby z t. zw. niższych warstw tracą niezmiernie w zestawieniu z dziećmi dostatku.

Marrenowa upodobała sobie głównie jeden typ męzki, który wraca w jej powieściach kilkanaście razy.

Jej Edward („Walka") posiada „powierzchowność wytworną, pieszczoną, nacechowaną tą miękkością, która zdradza wybitny rys charakteru i usposobienia. Jeżeli temu człowiekowi groziło nieszczęście jakie, on nie miał siły go odwrócić, jeźli nadeszło, nie potrafił go dźwignąć. Przywyknienie musiało dla niego być prawem; skłaniał głowę przed każdą burzą, pokonany zawczasu, lękał się walki i puszczał łódkę swą na wolę prądów bez oporu."

Tak wygląda nietylko samobójca Edward w „Walce", lecz i Lucyan w „Jerzym", Henryk Wieliński w „Róży", rzeźbiarz Antoni w „Nemezys" i wielu innych bohaterów Marrenowej.

Brak więc charakteru jest więc znamiennym rysem tych charakterów. Żaden z licznych przedstawicieli tego typu nie usiłuje stawić czoła przeciwnościom. Albo odbiera sobie życie, jak Edward, albo godzi się biernie z losem, jak Lucyan, który pociesza się na bulwarach paryzkich po utracie miłości Stasi, choć zdawało się, że złamie się pod ciężarem odmowy swej ukochanej. Henryk Wieliński, odepchnięty przez żonę, nie myśli wcale o starganiu rozluźnionych przez żonę więzów małżeńskich. Żyłby z nią do śmierci, gdyby tylko chciała.

Widocznie spotykała Marrenowa typ ten najczęściej w życiu i dlatego spamiętała go najlepiej i najdłużej.

Nie dziwimy się kobiecie, że nie usiłowała rozszerzyć za pomocą studyów swego repertuaru postaci męzkich. Lecz i kobiety Marrenowej nie odznaczają się bogactwem charakterystyki. Jej bohaterki pochodzą zwykle z tych samych sfer, z których idą bohaterowie, są to "osoby z towarzystwa", podobne do siebie, jednostajne. "Chowane w cieplarnianej atmosferze", lub w "sztucznej cieplarni konwencyonalizmu", co oczywiście na jedno wychodzi, rosną bez świadomości, bierne, poddające się zrazu woli starszych i wybuchające dopiero później, najczęściej po niewczasie.

W „sztucznej atmosferze cieplarnianej" chowa się Stasia („Jerzy"), Natalia („Błękitna książeczka"), Róża („Róża"), panna Salicka („Walka")

i t. d. Ale na dnie ich serca „drgają jakieś ukryte siły”, w młodych główkach błyska się coś, niby przelotne jasności, zapowiadające burzę. Te naiwne na pozór, bezwolne, bierne stworzonka, to... materyał na buntownice. Potrzeba im tylko sposobności, aby wybuchnęły i obróciły wniwecz skutki „cieplarnianej atmosfery”, „sztucznych konwencyonalizmów” i t. d.

Wybuch następuje w formie nadzwyczaj gwałtownej. Panny z wielkiego świata nie bawią się w środki połowiczne. Rozkochawszy się, uciekają z lubymi, jak księżniczka Natalia („Błękitna książeczka”), oświadczają się same (panna Salicka w „Walce”), umierają z miłości (Stasia w „Jerzym”), rozwodzą się z mężami (Róża w „Róży”). Przekonawszy się o siłach, które spoczywały u nich dotąd niezużyte, nie skarżą się, nie płaczą, lecz czynią, chwytając wypadki w swe drobne rączęta i zmuszają je do powolności. Chcemy być szczęśliwe przez miłość! oto ich programat, oto meta do której biegną na oślep, nie pytając, kogo i co po drodze roztrącą.

Należałoby zapytać, czy to możliwe, aby się tak dzielne kobiety mogły rozmiłować w bladych mężkich typach Marrenowej. Przecież ani jeden z tych „bohaterów” nie zasługuje na cześć, na szacunek, a serce niewieście nie płonie do mazgajów i samolubów...

Marrenowa uchodzi za autorkę postępową i zalicza się sama do obozu pozytywnego. Mimo to szukanoby daremnie w jej powieściach „programatu młodych”, wcielonego z świadomością i wynikliwie, jak u Orzeszkowej. Z każdej niemal sceny Orzeszkowej wypiera ów „programat”, wyskakują „hasła”. Czy się postacie autorki „Eli Makowera” kochają, czy nienawidzą, nie zapominają nigdy o tem, że są nowych, trzeźwych czasów wychowańcami. Orzeszkowa nagina wypadki, dość często nawet całą czynność do swych poglądów i tendencyi, poświęcając dla nich logikę i psychologię. Marrenowa zaś przypomina sobie wprawdzie niekiedy, że powinna wygłosić jakiś zwrot, któremu „młoda prasa” mogłaby przyklasnąć, ale przelotny ten frazes zalewa fala odmiennych wyobrażeń. Cały np. Jerzy, choć zawiera najwięcej pierwiastków „przyrodniczych”, wyzyskanych bardzo dobrze i umiejętnie, jest zaprzeczeniem wierzeń pozytywnych.

Opisując np. hr. Leona w „Walce”, wyraża się Marrenowa następnie: „Hrabia był zanadto szlachetnie urodzonym, wychowanym i czującym, by nie rozumiał brzydoty wszystkiego, co nikczemne. W braku sumienia oburzały się jego nerwy na każdy dwuznaczny postępek. Miał on pociąg do wszystkiego, co niezwyczajne i byłby z chęcią dzisiejszemu zmateryalizowanemu światu rzucił w oczy jakim czynem wspaniałej bezinteresowności.”

Najzacieklejszy arystokrata, wierzący w działanie krwi „błękitnej”, zgodziłby się chętnie na powyższą charakterystykę.

A w „Jerzym” spoczywa akcya na: przeczuciach, snach, widzeniach, wróżbach i t. p. dziwactwach romantycznych, które każdy pozytywista musi potępić.

Marrenowa nie posiada głowy publicystycznej Orzeszkowej, jeno serce i nerwy poetki. Rozumuje ona bardzo mało, ale czuje za to głęboko i potężnie, gdyż jest przedewszystkiem artystką. Ukochała ona jako powieściopisarka miłość w jej najrozmaitszych przejawach, począwszy od platonicznego, niewinnego marzenia księżniczki Natalii („Błękitna książeczka”), aż do szalonej, zbrodniczej namiętności Kazimierza, męża Leonory.

Czy się jej bohater nazywa tak lub owak, czy w jego żyłach płynie krew wojewodów albo chłopów, szczegół to dla niej obojętny. Byleby kochał, jest godnym odmalowania.

Marrenowa jest psychologiem miłości, adwokatem jej, anatomem i malarzem. Podpatrzyła ona robotę amorka w różnych położeniach; wie jak się psotnik bawi i jak okrutnik szaleje.

W „Błękitnej książeczce” opisała autorka pierwsze złudzenie młodej, wrażliwej dziewczyny, trzymanej w klatce przez wychowawców.

Natalia rwie się do świata, chciałaby go poznać i zmierzyć wśród jego wirów własne siły, oglądała się więc naokoło za kimś, ktoby mówił i myślał inaczej, niż ograniczona ochmistrzyni, zimna siostra i szyderski szwagier. Ktokolwiek stanie w tej chwili przed nią z pozorami oryginalności, na tego przeleje swe marzenia, ten będzie ideałem jej bezsennych nocy.

Kocha nie jego, lecz swoje tęsknoty i zawiedzie się, jak bywa zwykle w takich razach, w których zamiast serca, działa wyobraźnia.

„Róża” jest powieścią tych kobiet, które wydane zawcześnie zamąż, nie pytane nikogo o pozwolenie, przebudzają się dopiero w małżeństwie. Róże Marrenowej, w których „drgają jakieś ukryte siły”, obdarzone samodzielnością dumy, energią, rozrywają gwałtownie narzucone im przez innych więzy, wracają sobie same swobodę.

„Augusta” jest powieścią „omylonego serca”; w „Nemezys” mści się amor na rzeźbiarzu Antonim za lekceważenie, jakiego doznał od niego, w „Mężu Leonory” kocha się Kazimierz tak gwałtownie, że nie cofa się nawet przed zbrodnią, aby się pozbyć żony, która stoi na drodze jego szczęścia.

Mąż Leonory nie dosięga tego szczęścia, bo go miłość Marrenowej nie daje. Straszliwa to namiętność, furya, która zatapia z rozkoszą ostre pazury w ciele swych ofiar.

Im więcej ludzie cierpią, tem ona dumniejsza, szczęśliwsza. Nie uznaje nad sobą żadnego pana. Nie wie, co to przysięga małżeńska i rodzina, co honor i rozsądek.

Nie pokonał jej nawet taki January („Januar y”), jedyny typ męzki w powieściach Marrenowej, który umie panować nad sobą i zdawał się być wybranym do poskromienia okrutnej wiedźmy.

Genialny dyalektyk nagiął ją wprawdzie, „przegadał”, przymusił do posłuszeństwa, lecz ona zakrwawiła mu w końcu serce, zabijając dzieci kobiety, które on umiłował.

Miłość Marrenowej nie jest spokojnem uczuciem Orzeszkowej.

Jest to namiętność belletrystów francuzkich, pragnąca posiadać osobę ukochaną.

Tę miłość maluje Marrenowa z wielką siłą, z prawdziwym talentem pisarskim i z temperamentem.

DZIECI PANA RADZCY.

(OBRAZEK Z ŻYCIA MIEJSKIEGO)

PRZEZ

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg.)

— On mnie?! Cóż on mi zrobić może?! Ja się jego stosunków ani wpływów nie lękam; nie popełniłem też nic takiego czegobym się wstydzić potrzebował, że zaś ręka mnie świerzbi i że pragnąłbym dać mu porządną nauczkę, to nic dziwnego; każda podłość oburza mnie, a uczuć moich ukrywać nie umiem.

— Ty go nigdy nie lubiłeś — szepnęła Stasia — nie lubiłeś go i wtedy jeszcze, za życia ojca, gdy bywał u nas, a kiedy się o moję rękę oświadczył i przyjęty został, nie umiałeś ukryć swego niezadowolenia. Pamiętam to bardzo dobrze, jak dziś. Wszyscy winszowali mi, ty jeden tylko milczałeś a kiedym się zapytała dlaczego, odrzekłeś że nie masz najmniejszego powodu do radości. Chyba nie potrzebuję opowiadać, jak mi to było przykro.

— Nie lubiłem go nigdy, masz słuszność. Od pierwszego spotkania uczułem dla niego szczególną niechęć.

— Czy miałeś do tego powody?

— Nie, i to mnie najbardziej gniewało. Nieraz wyrzucałem sobie nawet, dlaczego żywię nienawiść dla człowieka, którego właściwie mówiąc, nie znam prawie. Rozsądek walczył we mnie, z jakiemś nieokreślonem, nieujętem przeczuciem i zwycięztwo pozostało po stronie przeczucia. Niedługi też czas przekonał, że po stronie przeczucia była także słuszność.

Stasia westchnęła.

— W chwili — mówił dalej Czesław — w chwili w której odebrałem ów list pamiętny, chciałem go szukać, wyzwać, bić się z nim! Szumiało mi w głowie, myśli zebrać nie mogłem. Gdyby wówczas był stanął na mojej drodze, nie wiem coby się stało... Wyszedłem na ulicę, chodziłem, usiłowałem umysł do równowagi przywrócić. Nie przyszło mi to z łatwością, jednak używszy całej siły woli, zacząłem zastanawiać się nad owym faktem zimno, krytycznie. Pomyślałem o naszej biednej matce i o tobie. Gdybym się z nim bił, całe miasto dowiedziałoby się o tem, a nie chciałem, żeby cię wymieniano jako bohaterkę awantury. Tak zwana opinia nie wchodzi w przyczyny, nie bada po czyjej stronie słuszność, lecz dowiaduje się o faktach i tłomaczy je po swojemu, a najczęściej fałszywie. Zastanowiwszy się, uznałem że najwymowniejszą odpowiedzią na jego list będzie milczenie i ty zgodziłaś się na to samo... Biedne dziecko! ileż mnie kosztowało opowiedzenie ci tego co zaszło! Wyrazy więzły mi w gardle... dusiłem się niemi...

— Jednak wysłuchałam relacyi twojej spokojnie i potrafiłam przenieść to...

— Istotnie podziwiałem cię, podziwiałem tem bardziej, że byłem przygotowany na wybuch płaczu, na sceny rozpaczy i żalu. Przekonałem się wszakże, że wy kobiety umiecie znosić cierpienia.

— Może w tem właśnie siła nasza jest... Nie kryję przed tobą mój drogi, żem przeżyła chwile okropne, ale na szczęście w samem cierpieniu znajdowało się i lekarstwo zarazem.

— Jakto?

— Ciężki zawód łączył się z rozczarowaniem, żal z pogardą dla tego, który stał się jego przyczyną; że więc przeniosłam ten cios to ściśle biorąc zasługa nie wielka. Po kilku miesiącach uspokoiłam się zupełnie, zapomniałam i gdyby nie spotkanie wczorajsze...

— Czy on co mówił do ciebie? Opowiedz mi szczegółowo, bo dziś rano, kiedyś mnie prosiła żebym cię odprowadzić przyszedł, nie było czasu na rozmowę. Czego on właściwie chciał od ciebie? co go ośmieliło do wszczynania rozmowy?

— O! nie przypuszczaj tylko, że ja! Kiedy wyszłam z pracowni, była już godzina siódma, jak dziś. Zastawiając się parasolem od deszczu szłam szybko, jak zwykle, nie patrząc na ludzi. Naraz usłyszałam za sobą przyspieszone kroki, zupełnie jakby mnie kto gonił, ale i na to nie zwracałam bliższej uwagi. Wtem słyszę dwukrotnie wymienione moje imię „panno Stanisławo! panno Stanisławo!” Obejrzałam się, to był on. Doznałam dziwnego wrażenia, zupełnie jakgdybym nastąpiła na węża... Spojrzałam na niego, nie odpowiadając na ukłon i szłam dalej. On dążył za mną wciąż. Mówił, że chce się usprawiedliwić, wytłomaczyć, uzyskać przebaczenie, deklamował że bez tego przebaczenia żyć nie może, że nie jest w stanie walczyć z sobą dłużej.

— Nędzny blagier!

— Naturalnie, milczałam i przyspieszałam kroku. On wciąż swoje powtarzał, mówił o uczuciu, które nie wygasło w nim dotąd...

— Musiał mu ktoś powiedzieć o owej sukcesyi spodziewanej, którą się nasza mama tak słodko łudzi.

— Może być. Nareszcie, nie otrzymawszy odemnie odpowiedzi, oświadczył, że codzień będzie mnie spotykał, że będzie się znajdował zawsze na mojej drodze, aż dotąd dopóki nie otrzyma...

— Czego?

— Przebaczenia.

— Jakimże sposobem pozbyłaś się nareszcie tego nieproszonego towarzysza?

— Widząc, że nie myśli odejść, weszłam do sklepu. Zażądałam igieł i różnych drobiazgów. Wybierałam dość długo, a on oczekiwał przed sklepem. Widziałam to doskonale. Zabawiwszy w sklepie z kwadrans, wyszłam, na szczęście przejeżdżała próżna dorożka, wskoczyłam w nią i kazałam się zawieść do domu. Pan Kazimierz został na ulicy i jak się zdaje koła dorożki obryzgały go błotem. Założyłabym się, że i dziś musi on tu być gdzie blizko, mam jednak nadzieję, że gdy ujrzy iż jestem pod twoją opieką, zejdzie nam z drogi.

— Bardzo by mądrze zrobił — rzekł Czesław — i więcej od niego nie żądam. Pomiędzy nim a nami wszystko skończone.

Stasi zdawało się, że po drugiej stronie ulicy dostrzegła swego byłego narzeczonego.

Istotnie był to on. W naciśniętym na same oczy kapeluszu, z brodą wsuniętą w podniesiony kołnierz od paltota, przechadzał się po trotuarze, widocznie oczekując na kogoś.

Dostrzegłszy Stasię idącą w towarzystwie brata, skinął na dorożkę, wsiadł w nią i pojechał, zrozumiawszy że oczekiwanie jego dzisiejsze będzie bezowocne.

Rozmawiając o swoich smutkach i kłopotach, brat i siostra doszli do domu na Ogrodowej.

W bramie spotkał ich jegomość już nie młody, dosyć otyły, szpakowaty, ubrany dosyć pretensyonalnie, z wąsami i bródką uczernioną, w niebieskich okularach na nosie.

Był to właściciel domu.

— Ah! dobry wieczór — zawołał — co za szczególne zdarzenie! Właśnie chciałem wstąpić do państwa, ale nie wiedziałem czy państwo jesteście w domu i czy moje wejście nie zrobi subjekcyi pani radczyni, która jak słyszę jest cierpiąca.

— Zdaje się — rzekła Stasia — że do pierwszego mamy jeszcze dwa dni.

— Mówi pani jak kalendarz, akurat dwa dni. Sądzicie państwo naturalnie, że przychodzę upominać się o komorne.

— Takby się zdawało — rzekł Czesław.

— Istotnie, czegóż by mógł chcieć od lokatora właściciel domu, kamienicznik! Po co by miał przyjść? Rzecz prosta, albo chce podwyższyć komorne, albo upomina się o czynsz.

— Nie rozumiem pana — odrzekła Stasia.

— A widzi pani! ale czasem ci straszni kamienicznicy miewają i inne interesa do lokatorów. Zdarza się naprzykład, że radziby wiedzieć czy piece nie dymią, czy okna dobrze pasują i czy wogóle nie potrzeba jakiej reparacyi w lokalu.

— O dziękujemy stokrotnie, mieszkanko nasze jest prześliczne i zupełnie dobre.

— Nie o to idzie, proszę pani, ja wiem, że kto nie jest bardzo wymagający, temu wszystko się dobrem wydaje.

— Więc o reparacye chciał pan zapytać?

— Nie, pani, o co innego. Wszak mama pani jest chora?

— Tak, niestety.

— Chodzić po schodach jej trudno?

— Rzeczywiście.

— Świeższe powietrze jest dla niej pożądane, jak zwykle dla osoby chorej, nieprawdaż?

— Tak, tak, panie.

— Otóż chciałem zaproponować państwu zmianę lokalu.

— To znaczy — rzekł Czesław — że nam pan mieszkanie wymawia; szkoda, przyzwyczailiśmy się, ale trudno, jak trzeba to wyprowadzimy się ztąd, od kiedyż to?

— Co też pan mówi!? Przeciwnie, ja chcę państwa jak najdłużej zatrzymać, proponuję tylko zmianę lokalu. Mam tu w oficynie na dole śliczne trzy pokoiki, suche, ciepłe, widne, okna wychodzą na ogród... dla pani radczyni będzie to idealne mieszkanko.

— Zdaje mi się, że pan sam je teraz zajmuje.

— Tak jest, ale chciałbym przenieść się na drugie piętro.

— Dlaczego?

— Proszę pani, mam w tem swoje widoki. Po prostu oto dla zdrowia. Czuję żem trochę ociężał, a jak kilkanaście razy dziennie będę musiał wchodzić na drugie piętro i z powrotem, to taka agitacya wybornie mi posłuży. Jestem o tem najmocniej przekonany. Jakże więc, przystaniemy na zmianę?

— Jak ty myślisz, Czesiu? — zapytała Stasia.

— Można by przystać, bez żadnego namysłu — odrzekł — ale uważasz, tamto mieszkanie na dole jest znacznie większe niż nasze i zapewne o wiele droższe, a my — dodał zwracając się już wprost do gospodarza — my, panie szanowny, nie kryjemy się z tem, że nie jesteśmy zamożni...

— Czyż to wstyd? kochany panie, czyż to wstyd? Człowiek młody nie może być zresztą niezamożny, bo przed nim cały świat otwarty, a pani naprzykład — rzekł patrząc na Stasię — może jeszcze znaleźć nietylko zamożność ale los, szczęście.

— Ah, nie mówmy o tem!

— Jak nie mówmy to nie mówmy. Ja tylko proponuję... proponuję zmianę lokalu, płacić państwo będą tyle co i teraz.

— Przecież nie możemy narażać pana na stratę.

— Jakaż strata?!

— No przecie.

— Niech pani obliczy. Ja sam sobie za komorne nie płacę, a od państwa biorę. Mieszkania dla siebie potrzebuję, a czy mieszkać będę na dole czy na piętrze, to mi to dochodu ani o jeden grosz nie umniejszy. Nieprawdaż?

— Zapewne, ale zawsze...

— Ja proponuję i proponuję ze szczerej życzliwości. Chociaż nie osobiście, ale ze słyszenia znam państwa oddawna.

— A to zkąd?

— Nieboszczykowi panu radcy, mój brat stryjeczny zawdzięcza to, że obecnie ma doskonałą posadę i pewny kawał chleba. Tylokrotnie mi mówił o państwu, a zawsze z uwielbieniem szczerem i wdzięcznością. Chociażbym więc nawet zrobił państwu jakąś dogodność, to byłaby tylko z mej strony słaba oznaka pamięci i wdzięczności za brata. Niechże się państwo nie skrupulizują i przyjmą moję propozycyę.

— Trzebaby z mamą pomówić.

— Słusznie, bardzo słusznie, trzeba pomówić z mamą, niechże państwo pomówią, a ja w niedzielę koło południa, wstąpię do państwa i dowiem się o rezultacie. Wszak zastanę państwa?

— Owszem, będziemy.

— Doskonale więc. Przyjdę punktualnie o godzinie dwunastej, a teraz nie zatrzymuję, pani radczyni oczekuje państwa zapewne. Moje uszanowanie, do nóżek upadam!

Czesław ze Stasią wbiegli szybko na górę i opowiedzieli matce scenę z gospodarzem.

— Ależ brać, brać, bez żadnego namysłu — rzekła radczyni. — Sami widzicie, że jest nam tutaj ciasno. Czesław cierpi największą niewygodę.

— O to, moja mamo, najmniejsza.

— A jak się gość trafi to nie ma go gdzie przyjąć.

— Zkąd u nas goście? kochana mateczko, od chwili śmierci ojca nikt do nas nie zajrzał.

— Otóż mylicie się, bo dziś miałam wizytę. Właśnie podczas nieobecności waszej, była pani Ewelina z córeczką.

— Ona?!

— A tak. Cóż cię to dziwi. Przyjechała karetą, przysłała służącego dowiedzieć się czy jestem i potem przyszła tu do mnie na górę. Dopytywała się bardzo serdecznie o moje zdrowie, o was, a szczególniej o Czesława, pytała kiedy kursa skończysz? Powiedziałam, że na przyszły rok. To ślicznie, zawołała, to bardzo ślicznie! mąż mój będzie mógł dać panu Czesławowi korzystną posadę w cukrowni, teraz poszukują młodych ludzi z wyższą kwalifikacyą naukową.

— Ależ mamo! — zawołał Czesław — ludzi z wyższą kwalifikacyą są całe setki w Warszawie, biedacy muszą dawać lekcye, gdyż inaczej pomarliby z głodu.

— Ah! moje dziecko, nie sprzeczaj się. Skoro pani Ewelina powiada że poszukują, to poszukują

wyraźnie mi to powiedziała. I nie myśl, że tylko ona jedna tak mówi. Zaraz po jej odejściu przyjechała pani Szulc, wiesz przecie, ta co bywała u nas tak często.

— Wiem, wiem.

— Jej mąż jest teraz bardzo ważną figurą w zarządzie drogi żelaznej i szczerze żałuje że jesteś jeszcze na kursach, ponieważ wziąłby cię zaraz na kolej.

— Zkąd nagle taka czułość? Nie rozumiem doprawdy, jestem jak na niemieckiem kazaniu.

— Szczególny z ciebie chłopak, mój Czesiu. Zkąd czułość? Dziwne doprawdy pytanie. Tu nie jest żadna czułość, tylko stosunki, stosunki nasze dawne, moje dziecko. Twój ojciec robił ludziom tyle dogodności, więc teraz ludzie nam robią. Cóż się dziwić? kiedy nietylko ludzie z towarzystwa, ale nawet taki Fichtenholz czuł się w obowiązku.

— Czyż i on był tutaj?

— A był.

— Czegóż chciał od mamy?

— Przyszedł dowiedzieć się o moje zdrowie i pytał czy mi nie potrzeba pieniędzy. Ofiarował mi kilkaset rubli na pół roku na bardzo mały procent.

— I mama wzięła od niego?

— Naturalnie, że wzięłam... dlaczegóż nie miałam wziąć?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Tyś obojętną!

Tyś obojętną! próżno w cudnej wiośnie,
Natura cały urok roztoczyła:
Napróżno słowik zawodzi miłośnie
I ku tej stronie kędy róża rośnie,
Najczulsze tony swej pieśni wysyła!

Tyś obojętną! twarz księżyca blada
Z niemą litością z góry na nas patrzy:
W oddali świeci jasnych gwiazd gromada,
A jedna drugiej cicho się spowiada...
Lecz blask ich coraz niepewniejszy, rzadszy!

Napróżno słyszysz w tym wieczornym wietrze
Tęsknoty, żalu, jakąś nutę smętną,
Co ściera z duszy wszystkie myśli bledsze,
Budząc uczucia jakich czas nie zetrze;
— Ty ciągle milczysz... tyś wciąż obojętną!

Czy znasz posągi wykute z kamienia,
Którym dłoń mistrza daje pozór życia?
Żar uczuć nigdy z woli przeznaczenia,
Zimnego łona im nie rozpłomienia,
I serc kamiennych nie zmusi do bicia!

Urocza postać zachwyt budzi z razu:
Lecz swem dotknięciem odpychając zimnem,
Zagłusza echo tkliwszego wyrazu:
Bo jakżeż z serca przemawiać do głazu,
I marmur darzyć uwielbienia hymnem??

Emilia.

ODNALEZIONA.

POWIEŚĆ

Golo Raimunda.

PRZEKŁAD

Karoliny Szaniawskiej.

(Dalszy ciąg.)

Weronika znowu śmiać się zaczęła, a srebrny dźwięk jej głosu sprawił niezrównaną przyjemność Erwinowi.

— Tak — rzekła po chwili — pan von Mersdorf utrzymuje, że cena nie świadczy o wartości obrazu, lecz o urodzie kupcowej. Ma racyę — dodała z żalem — gdyż piękności oprzéć się niepodobna, ona zwycięża zanim inne zalety zwrócą uwagę. Jest ona przecież darem Bożym jak inne i dlatego nie należy wyśmiewać, gdy korzysta ze swych praw w tak dobrym celu. Przyjemnie jest usłyszéć pochwałę na część piękności z ust kobiety, która wie, że do wybranych nie należy, gdyż tylko istota prawdziwie wyjątkowa, potrafi się zdobyć na taką pobłażliwość.

Młody człowiek spojrzał na artystkę z zajęciem.

Przedłużył też dziś nadzwyczajnie codzienną wizytę, a spostrzegł, że jest późno, gdy młoda panna miała się oddalić.

— Cóż to za miła, słodka istota! — rzekł gdy drzwi za nią się zamknęły, czy bywa często u cioci?

— Również jak ty, prawie codziennie, lecz tylko o szarej godzinie, aby czasu nie tracić.

— Tak jest pracowita? Jeżeli się nie mylę, wspomniałaś ciociu, że jest nauczycielką, a ponieważ wymalowała obraz, daje więc pewno lekcye rysunku i malarstwa?

— Tak, lecz jest bardzo utalentowana, mogłaby uczyć również muzyki i śpiewu. Gra prześlicznie, a głos ma cudowny.

— Nigdy nie mówiłaś mi o tem, cioteczko.

Staruszka spojrzała na niego zdziwiona.

— Czy ty zawsze tak uważnie słuchasz tego, co ja mówię? — spytała z pewną ironią. — Ileż razy opowiadałam ci o mojej sąsiadce, bo u człowieka, co w sercu to i w myśli, jak mówi przysłowie.

— Czy musi tak pracować, na utrzymanie życia? — zapytał po chwili Erwin.

— Nie umiem ci powiedzieć. Bardzo serdeczna i poczciwa, nie lubi się zwierzać i potrafi uniknąć zapytań. Nie sądzę, żeby znajdowała się w krytycznych warunkach, trzyma ładne mieszkanie i prowadzi życie oszczędne lecz wygodne. Jej obrazy są bardzo cenione i o ile mi się zdaje, panna Elbing trudni się lekcyami dla wyrobienia sobie rozleglejszych stosunków, lub też, aby miéć pewną rubrykę stałych dochodów.

Na pierwszem piętrze odezwał się dzwonek; Erwin nasłuchiwał przez chwilę.

— Teraz — rzekł z uśmiechem — służąca zapali lampę, znajdzie się dobra książka, ona swym dźwięcznym głosem czytać ją zacznie. Obraz wieczornego zajęcia dobrze zastosowany do osobistości, nieprawdaż cioteczko?

— Tak, do osoby, lecz nie do jej stosunków — odparła pani Karolina. — Nasza artystka czytać głośno nie będzie, nie ma jej kto słuchać, gdyż mieszka sama jedna.

— Sama — powtórzył Erwin pewnem politowaniem.

— Tak, moje dziecko. Ależ na Boga! ty nic a nic nie uważałeś co ci o niej mówiłam, przykro mi doprawdy, bo ja chętnie opowiadałabym każdemu co to za anioł dobroci i poświęcenia. Czuję dla niej wdzięczność prawdziwą, za każdą z tych wizyt, któremi uprzyjemnia moje życie starając się rozweselić mnie i rozerwać w samotności. Wie ona zapewne jak to smutno być samą na świecie. Mieszkam tu wprawdzie dopiero od kilku miesięcy, to jest od czasu, gdy ty zająłeś się moim losem, nikt mnie tu nie znał w całym domu, gdy dostałam ataku apopleksyi pod jej progiem... Może ty i tego nie słyszałeś, że byłam chorą?...

— Ciociu! — zawołał Erwin z wyrzutem. — Wszak nie jesteś obcą dla mnie i wszystko co ciebie dotyczy nie jest mi obojętne. Wiem, że byłaś chorą, mów dalej, proszę.

— Tak, moje dziecko, musiałabym ci opowiadać bez końca, chcąc powtórzyć jak ona mnie pielęgnowała po całych nocach, poświęcając mi przytem cały czas wolny od pracy, a wychodząc przysyłała mi swoję starą Sabinę, jak czytywała mi co wieczór, a każdego rana prawie gwałtem prowadziła do swego pokoju, bo u mnie okna wychodzą na północ, a doktor zalecił przesiadywanie na słońcu. Od tej pory datuje się nasza serdeczna przyjaźń i teraz często przepędzam u niej parę godzin przed południem, gdy nie ma lekcyi na mieście lub też wieczorem idę na herbatę do miłego mieszkanka, które chociaż nie bogate odznacza się pewnego rodzaju wykwintnym smakiem.

— Kto są jej rodzice i krewni — spytał Erwin mocno zaciekawiony.

— Nie umiem ci tego powiedzieć — rzekła staruszka. — Weronika nie lubi mówić i o swoich stosunkach i o przeszłości. Wiesz przytem jak ja tutaj żyję samotnie i zdala od ludzi, a żadna z moich znajomych o pannie Elbing nic nie wie. Gospodarz mówił mi tylko że ona nie jest tutejsza i mieszka w naszem mieście zaledwie dwa lata. Raz tylko odważyłam się zapytać, czy nie jest kuzynką pułkownika Elbinga, który był znajomym twego dziadka, gdyż stał długo z pułkiem w Berenthalu. Odpowiedziała, że to bardzo dalekie pokrewieństwo, a gdy spytałam jeszcze, czy i ona pochodzi z Berenthalu, odrzekła: nie, i na tem koniec. Jestem pewną, że trwałość naszej przyjaźni zależy od dyskrecyi z mojej strony.

— W każdym razie, jest to bardzo niepospolita osoba — wtrącił Erwin. — Mogę ci powinszować ciociu, tak miłej znajomości. Ah! późno już — zawołał po chwili — miałem towarzyszyć paniom na operę. Pewno pojechały same, a ja usłyszę dobre kazanie. Do widzenia ciociu, spędziłem mile szarą godzinę. Przyjdę w tych dniach...

Pospieszył w stronę miasta; wielki pałac tonął już w ciemnościach, pierwszy raz dzisiaj, Hortensya oczekiwała go napróżno.

V.

Pani von Mersdorf posiadała najdokładniejsze wiadomości o swoim synowcu, wiedziała gdzie bywa, czem się zajmuje, jakich ma znajomych i kto

mu się podobał, jedynie tylko wizyty u ciotki, nie należącej do wielkiego świata wyłączone były z pod jej kontroli. Erwin nie wspominał też nigdy o staruszce, wiedząc jak te kobiety wzajemnie się nienawidzą, chociaż usiłują nad sobą panować. Pani Karolina, czyni to przez wrodzoną dobroć serca, nie chcąc robić przykrości Erwinowi, który tak szanuje ciotkę a kto wie, może nawet żywi dla Hortensyi gorętsze uczucia, niżeli zdaje się na pozór; pani von Mersdorf zachowuje się spokojnie, aby nie zrażać kuzyna i nie stracić opinii dobrej, pobłażliwej kobiety, którą niegdyś sądził zbyt surowo.

Nie wspominając nigdy o swej starej przyjaciołce, Erwin zamilczał również o nowej znajomości. Sam nie wiedząc dlaczego, pragnął to zachować w tajemnicy, zdawało mu się, że popełni zbrodnię czyniąc młodą pannę przedmiotem ciekawych i niedyskretnych pytań.

Spotkania powtarzały się coraz częściej, Erwin odłożył wizyty na szarą godzinę, a jeżeli czasem nie zebrali się wszyscy troje, to nigdy z jego racyi.

Zaraz na początku następnego tygodnia, otwarty został dawno zapowiedziany bazar, mógł więc Erwin zbadać i porównać na gruncie słuszność swych uwag.

Hortensya, która uważała za obowiązek ukrywać swą wrodzoną zalotność, z wyjątkiem kilku drobnych wybryków, na karb dziecinnej naiwności, postanowiła tym razem odetchnąć swobodniej, nie trzymać się pedanta i wynagrodzić czas stracony.

Była bardzo piękną i nadzwyczaj powabną, umieszczono ją też nader stosownie wśród kwiatów, które sprzedawała z rozkosznym uśmiechem. Sklep znajdował się w oblężeniu, nie mogąc się docisnąć, Erwin usiadł z daleka rad przyjrzeć się widowisku, zanim przyjmie w niem udział.

Kilku oficerów poszło za jego przykładem, a dwaj zawiązali półgłosem rozmowę, którą pomimowoli pan von Mersdorf wysłuchał do końca.

— Tak, tak — mówił pierwszy — ona jest prześliczna, ale nie dla ciebie, mój chłopcze. Weźmie ją ten, kto da więcej, a twoja kieszeń pusta straszliwie.

— Niestety!—szepnął drugi wzdychając.—Mojem zdaniem szukanie posagów powinno zostać przywilejem mężczyzny, kobieta wychodząca zamąż dla pieniędzy, doprawdy to wstrętne.

Nie rozwijając poglądów na tak ważną kwestyę, poruszoną przez towarzysza, młody oficer rzekł ścicha.

— Czy widzisz tego podstarzałego jegomościa, który ciśnie się do sklepu, wzdycha i drży jak kwiat lotusu? No ten ma pewną szansę powodzenia, sto tysięcy talarów gotówki i nieobdłużoną wioskę. Patrz na nią, co za uśmiech, jakie spojrzenie!... Widzisz, zachciało mu się róży, którą ona ma przy staniku, voilà, droga to róża, jak wszystko, co piękna Hortensya udzielić raczy.

— Czy rzeczywiście ma tak mało serca? — spytał młodszy oficer nie wtajemniczony widać w tutejsze stosunki.

— Mówią, że to serce tak skąpo uposażone, jest już własnością kuzyna starego radzcy von Szlieben. Czy znasz go? Nie?... Prześliczny mężczyzna i gentleman pod każdym względem. Posiadał wyraźnie jej względy jako przyszły sukcesor bogatego wuja, szło tylko o to, aby staruszka dobrze usposobić na jego korzyść. Panna Hortensya wzięła to na siebie i jako dobra aktorka, z takim ogniem grała swą rolę, że stary sam się w niej zakochał. Biedny Szlieben, przegrał dwie sprawy jednocześnie!

— Jakto dwie? nie rozumiem...

Gadatliwy wojak stuknął palcem w czoło.

— Ależ, zastanów się, Maurycy, czyż to trudne do zrozumienia. Jeżeli stary się ożeni, sukcesya przepadnie, a choćby nawet nie zabrał mu panny tylko postarał się o inną, Hortensya już dla niego stracona. Mądre to jest stworzenie, widząc co się święci powiedziała otwarcie, że nie może być jego żoną. Sam mi to opowiadał w pierwszym żalu.

— A to szatan! — zawołał mały oficerek zaciskając dłonie. — Ciekawym co się stanie z tym drżącym wielbicielem, czy będzie czekał aż ostatnie włosy wypadną mu z głowy, bo i tak już zaledwie resztki pozostały. Zdaje mi się, że ten nie powinien tracić czasu.

— Tak, gdyby na niego przyszła kolej... Lecz Hortensya ma teraz lepszego konkurenta, tego zaś trzyma w odwodzie. Zbyt mądra, by miała puścić wróbla dla kanarka na dachu.

— A cóż to za kanarek? znasz go zapewne?

— Nie, jakiś złoty kuzynek czy przyjaciel, świeżo przybyły z Ameryki. W każdym razie znacznie bogatszy od barona, nawet gdyby zapłacił moje i twoje długi, zostałoby mu dużo więcej. W dodatku, to także coś znaczy, że jest podobno młody, przystojny i dobrze ułożony... Ale dość już tego, chodź Maurycy, mała Windheim sprzedaje wodę sodową, to lepsze niż niezapominajki i róże.

Odeszli, Erwin stracił ich z oczu. Wysłuchana przed chwilą rozmowa zrobiła na nim bardzo przykre wrażenie, przykro mu było, że stał się przedmiotem nędznej spekulacyi i w jednej chwili ogarnął go wstręt i obrzydzenie do pięknej panny, która pod pozorem dziecięcej naiwności była zimną rachubą. Jakim sposobem ciotka zdołała go oszukiwać przez czas tak długi, a on doświadczony już przecież i znawca serc ludzkich, nie poznał się na tem. A jednak, dawniej tak dobrze ją oceniał!

Tymczasem należy ukryć żal i boleść, jaką sprawia rozczarowanie, aby nie uchybić przepisom grzeczności, obejrzyć bazar i kupić cośkolwiek.

Z tem postanowieniem, spokojny na pozór, pan von Mersdorf poszedł przywitać piękną kuzynkę, która odpowiedziała słodziutkim uśmiechem na hojny dar złożony dla biednych.

— Wszyscy cisną się do ciebie — rzekł po chwili — muszę ustąpić, gdyż lepiej rozmawiać w domu, przy kominku.

Oczy pięknej panny błysnęły, w głosie jego dostrzegła obcą, nieznaną nutę, to zazdrość, symptomat miłości, tak gorąco przez nią wyczekiwanej. Szczęśliwa i promieniejąca, nie zatrzymywała kuzyna. Niech się pomartwi trochę, szepnęła w duchu, to nie zaszkodzi!

Erwin myślał w tej chwili o Weronice. Co za prostota obok dobroci i wykształcenia, jak wyższa od innych, jak szlachetna!...

Poszedł do następnego kiosku, w którym jedna ze znajomych dam sprzedawała obrazy. Była to młoda hrabianka, brat jej dziedziczył rozległy majorat, a ona wraz z siostrami bardzo niewielki majątek, lecz jak często mówi matka, ma bogatą partyę na widoku. Jest to przystojna panienka, bardzo przytem miła i niewymuszona, kto wie, może matczyne projekty się spełnią, gdyż Erwin bywa częstym gościem i świadczy różne grzeczności od których serce hrabiny uderza przyspieszonem tętnem.

Rozejrzawszy się dokoła, Erwin spostrzegł w kąciku piękny obrazek i wyczytał znajome nazwisko. Drobny krajobraz wiejski, cichy niedzielny ranek, kościołek ze skromną wieżyczką, ogród czy cmentarz i nic więcej. A jednak trudno oderwać oczy od tego widowiska, tyle tutaj poezyi, taki czar wieje z tych pól, tak pięknie świeci słońce...

— Obraz czystej, pogodnej duszy — szepnął Erwin, myśląc o artystce — chciałbym to nabyć...

— Obraz czy duszę? — wtrąciła, śmiejąc się hrabianka.

— Jedno i drugie — odrzekł z westchnieniem młody człowiek — a przynajmniej to, co można kupić za pieniądze.

Oczy dziewczęcia błysnęły.

— Czy naprawdę? Chcesz pan kupić ten obraz? Jest prześliczny, a jednak chętnie go oddaję.

Wymieniła dość znaczną sumę, którą Erwin podwoił bez wahania.

Rumieniec ożywił miłą twarzyczkę hrabianki, która zawołała z radością.

— Prześlicznie! cudownie! Ucieszą się biedni, artystka, która wykonała ten obraz, no i ja tryumfować będę!...

— Czy znasz pani autorkę tego obrazu?

— Jest ona moją nauczycielką i...

— I niczem więcej — dodała wyniośle hrabina, stojąca obok córki.

Erwin pożegnał panie a kupiwszy jeszcze trochę drobiazgów opuścił bazar.

Uszczęśliwiony z nabytku, gdyż złożył tym sposobem należny hołd młodej artystce, która nie okazując się ludziom jak tamte, piękne kupcowe, zrobiła prawdziwą ofiarę z własnej pracy.

Hortensya przyjęła go z nietajonym gniewem. Przekonaną będąc, że Erwin chciał tym sposobem wyróżnić hrabiankę, spędziła kilka godzin w zwątpieniu, graniczącem z rozpaczą.

— Idź, daj mi spokój — powtarzała na wpół żartem. — Jesteś niegodny przeniewierca! Jak mogłeś z moją krzywdą dopomagać do zwycięztwa innym?

Erwin spojrzał na nią wielkiemi oczyma.

— Do zwycięztwa? — powtórzył — czyż bazar jest placem boju? — dodał z ironicznym uśmiechem. — Czyż to nie wszystko jedno dla biedaków który sklep najwięcej ma dochodu.

Hortensya przygryzła karminowe usta.

— Bardzo objektywnie jak uważam zapatrujesz się na tę kwestyę a jednak subjektywnie działałeś. Całe miasto mówi o wyróżnieniu, jakie spotkało hrabiankę.

Erwin ramionami ruszył.

— Sąd całego miasta jest mi najzupełniej obojętny, ciebie jednak chciałbym przekonać. Ja, widzisz, byłem zawsze krańcowym egoistą i pozostałem nim do tej pory. Lubię łączyć piękne z pożytecznem. Ofiarując sumę, którą przeznaczyłem dla biednych, chciałem w zamian posiadać przedmiot prawdziwej wartości i daję ci słowo, że nabyłbym go nawet od najbrzydszej i starej jakświat kupcowej. Jeżeli kto tutaj wyróżnionym został, to chyba artystka.

— Kto ona? — spytała pani von Mersdorf z pewną trwogą.

— Młoda osoba, którą poznałem u ciotki Karoliny, wielka jej przyjaciołka.

Hortensya odetchnęła.

— Znam ją — rzekła — szkoda tylko, że obrazy które tworzy, są od niej piękniejsze — dodała z pewnem politowaniem.

Erwin uśmiechnął się z lekka.

— Czy tak? nie spostrzegłem tego.

W tym samym czasie zastukano do drzwi staruszki i Weronika ukazała się we drzwiach.

— Podzielę się z panią wielką radością! — rzekła zaraz na wstępie. — Mój obraz został nabyty za podwójną cenę. Jestem szczęśliwa ze względu na biednych i na siebie.

— No, no, winszuję. A kto jest nabywcą?

— Pan von Mersdorf. Możemy obie z niego żartować, gdyż piękne usta zachwaliły moję pracę. Sprzedała ją moja najdroższa uczenica, hrabianka Melania. Piękność zwycięża zawsze i wszędzie...

Staruszka nie dała jej dokończyć.

— Nie moje dziecko. Ty nie znasz Erwina, on nie jest taki jak wszyscy mężczyzni. Złożył hołd zasłudze a nie piękności. Nie, Erwin jest wybornym znawcą obrazów i...

— I czego? — wtrąciła Weronika.

Staruszka pocałowała ją w czoło.

— I prawdziwych pereł — rzekła z uśmiechem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Państwo Wackowie, komedya, napisana przez p. Z. Przybylskiego.

Obecnie w prasie naszej toczy się rozprawa, czy teatr ma być szkołą moralności, czy głównie zabawy? Czy ma starać się aby przez rzeszoto jego czujności nie przemknął się najmniejszy dwuznacznik mogący młode panienki zarumienić, czy też należy słów w bawełnę nie owijać i wszystko złe i dobre wymieniać po imieniu palcem wytykając.

Zdania są tu rozdwojone, a roztrzygnięcie kwestyi w kilku słowach niepodobne. Zdaje się jednak, że głównym celem teatru do pewnego stopnia, jest zabawa, który tym wyborniej zostaje spełniony, jeżeli bawiąc, serce widza poruszy szlachetnem uczuciem a wpłynie na sprostowanie fałszywego jakiego pojęcia i obudzi odpowiednie refleksye. Nawet operetą i farsą nie należy pogardzać, bo obok fantastycznej lub anegdotycznej treści, satyryczne uwagi dowcipnie wplecione w rozmowy, mogą wybornie posługiwać do osiągnięcia głównego celu, bawienia i wpływu dodatniego na słuchaczy. Kto bowiem chce morału, ten idzie na kazanie, kto pragnie nauki to szuka odpowiedniej książki, kto zaś chce się bawić to idzie do teatru, a autor tym lepiej spełnia swe zadanie, jako dramaturg im w wabniejszej formie działa na ułomności ludzkie i podaje lekarstwo choć gorzkie ale tak ocukrzone i bawiące, że łykając je nie czuje się niesmaku.

Że tak jest, to rozpatrzenie bliższe wszystkich sztuk teatralnych więcej podobających się, przekona o tem dowodnie. Wreszcie teatr nie dzieciom winien służyć ani młodzieży co chwila płonącej, gdy się mówi o bosej nóżce lub sercu pod piersią bijącem, ale osobom starszym, dojrzałym, którym godzi się coś mieć wyłącznie dla siebie. Z takiemi zbytniej ceremonii robić niepotrzeba, byle wzgląd na przyzwoitość był zachowany, której brak zwykle za niemoralność najniewłaściwiej jest uważany. Dowcip brutalny może niepodobać się ale nie będzie niemoralnością, która jedynie mieści się w treści lub dowodzeniu pragnącem przekonać, że pewna działalność ludzka przeciwna zasadom porządku społecznego, nie jest złą ale konieczną i niepowinna być przez prawo ścigana ani potępiona przez opinią publiczną.

Komedya p. t. „Państwo Wackowie", nie jest właściwie komedyą ale obrazem dramatycznym, wesołym i dowcipnym i co rzecz bardzo ważna, tak wyrosłym na naszym gruncie, że patrząc i słuchając, zdaje się, że osoby wprowadzone do niego są nasi dobrzy znajomi, że mimo różnych awanturek i niedostatków, kochamy ich jako braci z kości naszych wyrosłych.

W komedyi p. t. „Wicek i Wacek", tegoż samego autora, ciągle granej z wielkiem powodzeniem, bracia ci kochający się bardzo, czas marnują na niczem, a raczej na wycieczkach jarmarcznych i hulankach dość kosztownych, opłacanych drzewem z ojcowskich lasów i zbożem z jego spichlerzy.

I wybornie się im z tem dzieje, co będzie dalej nic ich to nie obchodzi, ale na szczęście Wacek zapłonął miłosnem uczuciem, spojrzał w siebie i zawstydził się.

W sztuce drugiej p. t. „Państwo Wackowie", Wacek już występuje jako żonaty człowiek i ojciec małego Józia, a przytem jako zawzięty gospodarz, pilnujący, dozorujący i z wszelkiemi szałami młodości najzupełniej rozbratany.

Żona, którą młody szaławiła kocha z największym zapałem, tę przemianę w nim sprawiła, a więc cieszy się a i rodzice jej Klepaccy radują się taką poprawą syna przekształcającego się coraz bardziej w porządnego obywatela kraju. Żeby więc i Wicek mógł pójść za przykładem brata i raz się ustatkować, postanawiają go koniecznie ożenić, z panną wprawdzie dość nieładną ale za to posażną, czem nikt i nigdzie a szczególniej młodzież wiejska zwykle spłacająca rodzeństwo z majątku niepodzielnego nie gardzi.

Ale Wicek o małżeństwie ani myśli a szczególniej z panną z którą nie łączy go serce. Żeby więc uniknąć natarczywości rodziców, wymyka się z domu starym obyczajem i przybywa do państwa Wacków o ratunek i pociechę.

— Jedź ze mną Wacku na jarmark! — woła uszczęśliwiony, że wyrwał się ze szponów swatoskich.

Wacuś oburza się, łaje, wysławia pracę jako jedyne dobro, że u niego pracują wszyscy on i żona, ale Wicuś tak czule prosi, tak przedstawia, tak wymownie namawia, że Wacuś kruszy się, rozczula i... dla pociechy brata, cichaczem, potajemnie, pędzi z nim na jarmark, aby choć dzień jeden przeżyć życiem, które tak lubił a z jakiem rozstał się już raz na zawsze.

Tajemnica naturalnie długo się nie utrzymuje, powstaje w domu rwetes, Helena rozpacza, z ojcem starym Klepackim jedzie do miasteczka za mężem, zastaje go podpiłego nawet zataczającego się, rozgniewana grozi rozłączeniem i wraz z dzieciną chce zaraz wrócić do rodziców. Ale Klepacki poczciwy człeczyna choć safanduła pierwszej próby, naraz nabiera ognia jak dzielny rumak ukłuty ostrogą i pali jak z ambony o potulności i zacności dawnych niewiast naszych, o ich posłuszeństwie i to z taką mocą i przekonaniem, że Helena w wybuchu swego gniewu chłodnie i uspakaja się, chociaż i bez oracyi ojca ochłonąwszy z uniesienia, nie spełniłaby groźby jak to z przebiegu dalszej akcyi jasnem się okazuje.

Mimo tego obrażona małżonka dąsa się jeszcze i przez pewien czas udaje obojętność, Wacek smuci się, cienkiem głosikiem mówi, wzdycha, wreszcie kochająca żona nie może dłużej wytrzymać w przybranej roli, zwraca się z uśmiechem do męża i następuje zupełne pojednanie, przypieczętowane licznemi całusami i uściskami.

Jarmarczna jednak wyprawa Wicka nie przeszła bez pożytku, poznał bowiem w miasteczku śliczną Zosię i... zakochał się w niej po uszy. Cała więc rodzina pędzi do rodziców młodej dziewczki, oświadcza Wicusia, który razem z rączką ukochanej przyjmuje pęta... małżeńskie.

Staranna gra artystów teatru w Belle-vue, godna uznania, a szczególniej panie: Majdrowiczowa, Puchniewska, Bronikowska i Lubońska, a panowie: Knapczyński, Gloger i Feliński. Wystawa była staranna, publiczność bawiła się szczerze, śmiała i oklaskiwała, a jednak krytyka wiele zarzuciła pracy p. Z. Przybylskiego.

Prawda, że dziś tacy Wackowie i Wickowie a po części i Klepaccy, są postaciami należącemi do dalszej przeszłości, aleć to nie może stanowić ujemnej strony komedyi. Wszakże historyczne dramaty rozwijają się często w dawnych bardzo wiekach a nikt ich z tego nie gani, więc i komedyi „Państwo Wackowie" dawności wytykać nie należy, a uznać za wielką zasługę, że wszystkie postacie do niej wprowadzone, są tak nasze, tak żywcem sfotografowane, że mimowoli przywiązują widza do siebie.

W tem też spoczywa tajemnica oklasków, jakiemi darzono sztukę. Publiczność czuła, że jest w swojej atmosferze, że oddycha wonią pól rodzinnego gniazda i że najmniejszą szczelinką nie przeziera do niej obczyzna ani zgnilizna salonów wielkopańskich, ale nasza kochana strzecha wiejska, troszkę przyczerniała, nachylona i krzywa, zawsze jednak nasza, z sercem jak na dłoni i ze słowem w ustach może czasem zbyt porywczem, ale od fałszu zawsze dalekiem.

Takich komedyi jak najwięcej nam trzeba, choćby monodramów, byle nasze postacie przedstawiających.

J. G.

Z OBCEJ SZTUKI.

Dla ludzi, którzy wtedy tylko umieją ocenić piękno, gdy dzieła jego stęplem zagranicy naznaczone zostały, Warszawa przedstawia w tej chwili istne Eldorado rozkoszy estetycznych. Otwarłszy gościnne podwoje dla sztuki obcej, na każdym spotykamy ją kroku. Tu, nasi polscy malarze usunęli się potulnie w kąt, oddając cały prawie lokal Towarzystwa Zachęty malarzom niemieckim.

Tam, wśród skromnych salonów naszej narodowej Melpomeny, rozlegają się głosy: hiszpana Aramburo, włoski Angeloni i skoki żydowskiej podobno panny Zucchi, za którą pisma rossyjskie wymyślają nam w najnieparlamentarniejszy sposób, odsądzając od czci i wiary za brak zamiłowania baletowych wielkości.

Oddając należny hołd zasłudze, o najważniejszem dziele w gościnę zawezwanej, obcej nam sztuki, to jest o „Alaryku" prof. Lindenszmita, mówiliśmy niedawno obszerniej. Dziś też, o po-

zostałym okazie możemy tylko pobieżną zaznaczyć wzmianką.

Patrząc na dwa wielkie salony Towarzystwa Zachęty, zamienione w halę dla wędrownej sztuki niemieckiej, musimy żałować, iż do miernych jej, w znacznej części okazów nie został zastosowany ukaz przeciw cudzoziemcom. Prócz bowiem „Pięciu Zmysłów” i „Wiosny” Makarta, oraz wspomnianego już „Alaryka”, reszta niczem chyba nie zasługiwała na sprowadzenie, ani na wypędzanie dla niej polskich obrazów. Tembardziej, iż przy dzisiejszych krwawych krzywdach, jakie ręka niemiecka tak hojnie rzuca nam na głowy, nikt do podziwiania mierności przez nią stworzonych nie ma ochoty.

Makart nawet, ten istny poeta barw i najbardziej zmysłowy mistrz pendzla, mniej nas tym razem podbija i zachwyca. Pięć bardzo wysokich a wązkich obrazów, ucosabia w postaciach obnażonych kobiet zmysły ludzkie. Że twórca „Wjazdu Karola” cudownie umiał malować ponętne ciało niewieście, że obrazy jego istnym są nieraz poematem, o tem wiemy oddawna. Dlaczegóżby jednak naga kobieta, odwrócona do widza plecami i wychodząca z wody z dzieckiem na ramieniu, miała przedstawiać „Dotyk”, to już istną jest dla mnie zagadką. Lepiej usymbolizowanym został „Słuch”. Ta piękna istota, przytrzymująca rączką konchę uszną i wsłuchana widocznie w szum otaczających ją szuwarów, dokładniej zadanie swe tłomaczy.

To samo da się powiedzieć o „Wzroku”, śliczne bowiem oczy czarodziejki zapatrzone w lusterko, dość wyraźnie do widza przemawiają.

Nie trzeba prawie dodawać, iż wszystkie pięć postaci, przybrał Makart w ulubione swe rude bujne sploty, których gorący odcień, podnoszą jeszcze klejnoty, obficie wśród wysokich umieszczone koafiur. To samo bogactwo drogich kamieni, rozwija się na rękach i szyjach kobiet, a chociaż dla widza dziwny z nagością ich tworzy kontrast, mala rzowi dawało ono pole, do wyzyskania tego kontrastu właśnie, przyczem ciepły koloryt ciała, tem większej nabierał siły.

„Wiosna” tegoż Makarta, jest wielkim, na pół tylko skończonym obrazem. Wśród zieleni i kwiatów, igra nad wodą mnóstwo postaci dziecięcych drobnych amorków, o rażąco nieraz różowem ciele. Jeden z nich napina łuk w stronę młodziana, który zsiadłszy z trzymanego za cugle rumaka, przyjmuje czarę wody, od pochylonej nad źródłem jasnowłosej dziewicy w bieli. Całość kompozycyi, jako niewykończona, usuwa się od szczegółowej oceny; praca jednak wielka, przy której śmierć wytrąciła pendzel z ręki artysty, tchnie iście wiosnianą świeżością i urokiem.

Reszta niemieckich obrazów, nie zasługuje nawet na bliższą wzmiankę. Widzimy tu rzeczy sumiennie i umiejętnie studyowane, ale które nie wyrastają niczem po nad miarę mierności, po to chyba zostały sprowadzone, by nam wykazać, że polskie nasze malarstwo z tyloma walczące przeszkodami i kilka zaledwo dziesiątków lat liczące istnienia, w niczem przeciętnemu poziomowi sztuki niemieckiej nie ustępuje. Wobec tradycyi jej i środków, jakimi rozporządza, oznaka to dla nas nader pocieszająca.

Prócz królestwa barw jednak, sztuka obca zawitała do nas jeszcze i na skrzydłach pieśni. Ponieważ opera nasza za uboga jest, by na deskach jej w przelocie chociaż raczyli wystąpić tacy europejskiej sławy, a kosmopolitycznego pochodzenia śpiewacy, jak: Reszkowie, Mierzwiński, Rothmül, Kochańska i t. d. Dyrekcya więc w czasie nieuniknionych letnich urlopów, musi prześpiewane już nieraz, zagraniczne sprowadzać siły. Tą razą wybór szczęśliwszym się okazał. Mniej wymagający od owych „polskich” gwiazd, panna Angeloni i pan Aramburo, tenor *di forza*, przywieźli nam głosy świeże i w pełni rozwoju będące. Teatr też przepełniony po brzegi, z wielkim przyjmuje ich zapałem; frenetyczne zaś oklaski, jakimi publiczność obsypuje pełnego ognia i temperamentu hiszpana, zapał, jaki wywołuje np. słynną aryą *La donna è mobile* w Rigolecie, powinienby przekonać warszawskiego korespondenta *Sowrem. Izw.*, że jakkolwiek według jego zdania w pończoszce p. Zucchi więcej jest mózgu, niż w oślim uporem odznaczających się polskich głowach, niemniej głowy te prawdziwe piękno i cudzoziemców ocenić potrafią.

A. K.

WSPOMNIENIA LITERATA Z ŻYCIA POETY,

PRZEZ

U. S. W.

Julian Horain, niegdyś obywatel ziemski gubernii Mińskiej, literat i poeta (zbiór płodów jego wyszedł z druku 1852 roku w Wilnie p. t. „Chwile stracone”), w życiu późniejszem zmienne a smutne przechodził koleje. Około roku 1866 opuścił strony rodzinne i osiadł w Ameryce: zapragnął bowiem na starość odetchnąć powietrzem odmiennem, a dzieci swe wykształcić na swobodnych obywateli Stanów Zjednoczonych. W tem przedsięwzięciu wiele doznał przeciwności i zawodów, gdyż idealnie szczęśliwe kraje wydają się takiemi tylko zdaleka i jak w Anglii jest raj, ale tylko dla Anglików (do tego zamożnych), tak i w Ameryce najswobodniejsze jest życie dla zamożnych Amerykanów...

Po latach kilkunastu, Horain wrócił z za oceanu i osiadł we Lwowie, gdzie zmarł 1882 roku. Z Ameryki jeszcze pisywał do Gazety Polskiej w Warszawie i do Gazety Lwowskiej, a pomiędzy temi korespondencyami niektóre były poświęcone wspomnieniom o życiu Władysława Syrokomli (Ludwika Kondratowicza), którego Horain znał niegdyś na Litwie. Podobno autor zamierzał rozszerzyć i uzupełnić to wspomnienie, lecz śmierć nie dozwoliła mu tego uskutecznić i oto teraz księgarnia Gubrynowicza wydała je w pierwotnej postaci, p. t. „Z życia poety, wspomnienia o W. Syrokomli”.

Podwójnie więc ciekawa ta książka, bo ze względu i na treść i na autora. Dosyć pokaźna objętością (130 stronic w ósemce), nietyle jest bogatą w ważne, zajmujące lub nowe szczegóły o zgasłym przedwcześnie liniku litewskim, jakbyśmy się mogli tego spodziewać po takim jak Horain autorze; warto jednak zapoznać się z tem dziełkiem i jego treścią.

Książka dzieli się na trzy rozdziały: Na jednym wózku z poetą, W jednym namiocie z poetą i Ostatnie lata Syrokomli.

W pierwszym z tych rozdziałów Horain opowiada dzieje swego poznania się z Syrokomlą. Było to przed 1850 rokiem, Kondratowicz zaś już od roku 1846 znany był, jako utalentowany poeta, którego utwory przepisywano sobie i deklamowano w sąsiedztwie, zanim spółpracownictwo w Tygodniku Petersburskim i pierwsze drukowane gawędy nie zwróciły nań uwagi szerszego ogółu, nie dały poznać Syrokomli szerszemu ogółowi. Dobrej zaś poezyi ogół był wtedy spragniony, gdyż była to epoka zastoju i milczenia w literaturze, a zwłaszcza w poezyi, gdyż piśmiennictwo prozaiczne podtrzymywało się i rozwijało już coraz lepiej, dzięki prasie warszawskiej, Korzeniowskiemu, Kraszewskiemu, Rzewuskiemu i kilku innym. Wielcy poeci epoki poprzedniej: Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, Pol, Zaleski, Goszczyński, żyli jeszcze, ale już to zupełnie zamilkli, już to odgłos ich pieśni, ba nawet imienia, jak np. Słowackiego lub Garczyńskiego, nie dochodził wcale do stron rodzinnych Horaina.

Z radością więc okolica nadniemeńska powitała dzielny talent poetycki w osobie młodego szlachcica zaściankowego Ludwika Kondratowicza, który zaledwie, że ukończył szkółkę u Dominikanów nieświezkich a w Nowogródku doszedł tylko do klasy piątej, ale pracą usilną uzupełnił jako tako swoje wykształcenie, tak że nietylko mógł mówić poprawnie po polsku (co jest rzadkością u drobnej szlachty), ale i pisał wcale dobrym językiem.

Znajomi i sąsiedzi cieszyli się, że kraj nowogródzki wydaje już, w tak krótkim przeciągu czasu, drugiego po Mickiewiczu poetę, i nikt nie wątpił, że Syrokomla godnie zajmie miejsce obok Mickiewicza.

Powtarzano sobie i uczono się na pamięć wierszy ulotnych Syrokomli oraz jego gawędy „Dyfferencya”, znał je także i umiał Horain, gdy następujący wypadek dał mu poznać inne jeszcze, może jedne z najpierwszych, wiersze Syrokomli, które nam przechował, jako dotąd nieznane. Stało się bowiem, że do Horaina przybył niejaki Rajmund Baranowski, rezydent domów szlacheckich, jeżdżący dyszlem rzemiennym od dworku do dworku, a zarazem i wierszokleta wędrowny. Takich postaci oryginalnych próżniaków, dziś zaginionych, było wtedy pełno na Litwie. Szlachta, wierna jeszcze wtedy tradycyi gościnności, nie żałowała dachu ani chleba takim wędrownym pieczeniarzom, którzy bawiąc po kilka tygodni lub miesięcy w domach obywatelskich, usiłowali odwdzięczyć się za gościnę, już to pomagając w gospodarstwie, już to ucząc dzieci lub przygrywając na flecie albo skrzypcach, już to wreszcie rozweselając i śmiesząc gospodarzy oraz ich gości własnemi i cudzemi wierszami i konceptami. Tak i pan Baranowski, przybywszy do Horaina, zaopatrzył się w nowy figiel wierszoklecki, a mianowicie w list wierszowany, który jakoby otrzymał z Pól Elizejskich od zmarłego swego kolegi Krysztalewicza, podobnego sobie wierszoklety.

Pokazywał nawet każdemu kopertę ze stemplem pocztowym: „Pola Elizejskie”. W tym wierszu nieboszczyk Krysztalewicz opisywał koledze rozkosze rajskie, których używał na tamtym świecie, temi słowy:

Dobrze to miejsce nazywają rajem:
U Apollina zmieniając talerze,
Samych łakoci po gardło się najem,
Bom niedyskretny w tej mierze.

Tu nie ta bieda, co to u nas w Wilnie,
Gdzie my, uczniowie Eskulapa sztuki *),

---

*) Krysztalewicz był przez czas jakiś studentem medycyny w Wilnie.

Śmiesząc w kawiarniach i zbijając bruki,
Ledwo kęs chleba zyskali usilnie.

Tutaj na grzbiecie nie trzeba odzienia,
Nie trzeba szopów, bo tu wieczne lato,
W całej postaci, wedle przyrodzenia,
A rzeki płyną czy wiesz czem? Herbatą...

W końcu Krysztalewicz zaprasza kolegę do siebie.

Miał także Baranowski gotową i swoję odpowiedź Krysztalewiczowi, którą następnie odczytywał. W tej odpowiedzi wyraża się zazdrość, że Krysztalewicz przebywa w raju, bo:

Tam światłość wiekuista w same zęby świeci;
Tam przebywa ksiądz Baka i inni poeci;
Tam pieczone gołąbki, niebieskie migdały;
Tam Apollo łaskawy, dla wzbudzenia weny,
Sprosiwszy na śniadanko poetów rój cały,
Za ich zdrowie wychyla garniec hypokreny...

Kończy prośbą o posadę na tamtym świecie:

Racz więc smakownej dla mnie wyszukać posady,
Jeśli mnie nie oczernił który mój oszczerca.
Byle tylko łakocie, niestraszna mi praca:
Wszak wiesz, że i ja gardzę tym nieznośnym światem.
Kto tam u was na rożnie pieczenie obraca?
Może wakans? Dalibóg jestem kandydatem.

Obydwa te utwory były zbyt gładkie i dowcipne, aby mogły być uważane za płody muzy samego Baranowskiego; ale tym razem Horain nie mógł się od niego dowiedzieć, kto mu te wiersze napisał.

W roku następnym Baranowski znowu zawitał do Horaina i znowu ze świeżym utworem wierszowanym: było to pożegnanie Nieświeża pod tytułem bajronowskim: „Dalej za słońcem". Wierszokleta utrzymywał, że to on sam napisał, opuszczając Nieśwież, jako mizantrop, do ludzi zrażony. Są tam zwrotki gładkie, humoru pełne jak następujące:

Liczę na zemstę... Nie traćmy miny!...
Źle podróżować na sucho:
Biorę do płaszcza zraz cielęciny,
Biorę samowar za ucho.

I pójdę bujać, jak buja w lecie
Wietrzyk, swobodny syn nieba,
I pójdę pytać po bożym świecie,
Czy komisarza nie trzeba *).

Bywajcie zdrowi! Oni się śmieją...
Żegnam, kiwając szlafmycą,
Stosunkowości lubej nadziejo,
Bądź zdrowa Suro-dziewico!

(*Dokończenie nastąpi.*)

*) Komisarz tyleż co rządca dóbr.

ZAWIADOMIENIA.

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 30 wyszedł z druku i zawiera:

Młodość Mickiewicza.—Kontabelskie góry (drzew.) Strumyczek (wiersz). — Imieniny Mamy (komedyjka). — Chłopczyna z Wadowic. — Dobre psisko (drzew.) — Polowanie na białe niedźwiedzie na wyspie Nowej Ziemi, (z drzew) — Czy była dobrą. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Wykład nauki podlądowej. — Piątə koło u wozu (wiersz). — Mała Anulka (z drzew.) — Śpiewaj dziecino (wiersz). — Szczygiełek. — Odpowiedzi. Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się arkusz z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Іюля 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).



N. 1. Szlak ściegiem gobelinowym, do ryc. 18 w N-rze 29.

Opis do N-ru 30.

(*Dokończenie*).

N. 7—8. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 33 w N. 29.

Kaszmir koloru heliotropu i trochę jaśniejsza materya surah, przybrana frendzlą i pasmanteryą, użyte są na suknię ryc. 8, zaś ryc. 7 przedstawia z tyłu takąż suknię z białego kaszmiru. Rycina 33 w N-rze 29 daje wymiar brytów vêtement; przedni bryt *a* kraje się z materyi surah (cienka linia prosta wskazuje naszycie frendzli) i przyczepia na sukni kaszmirowej w ten sposób, iż jeden brzeg, boczny sfałdowany ściśle przyszyty jest w górze na spódnicy, a brzeg górny złożony w dwie kontrafałdy po 7 cent. szerokie wszywa się w pasek. Litera *b* daje połowę tylnego bryta vêtement, w górze zmarszczonego od 1 do 94 i przyszytego do brzegu stanika, dalej gwiazdką do gwiazdki złożonego w pukiel, a ściśle zebraną w fałdy częścią środkową zachodzącego pod baskinę pleców. Podpięcie dane wzdłuż poniżej 94 podszyte od spodu taśmą. Na rycinie 8 widzimy że przody vêtement odwinięte są w górze w szerokie ranwersy pokryte materyą; podszewka stanika zapina się środkiem na haftki a zwierzchu ma kamizelkę jedwabną pokrytą siatką szmuklerską, przeciśniętą u dołu dwoma sfałdowanemi, krzyżującemi się kawałkami materyi; wysoki kołnierz stojący z przodu pokryty siatką; wykrój szyi w staniku wszyty w kołnierz wykładany. Szarfa z podwójnie wziętej materyi, 14 cent. szeroka zakończona 18 cent: długiemi kwastami szmuklerskiemi z jedwabiu i perełek.



N. 2—3. Sukieneczka z bluzką, dla dziewczynki.

N. 9. Suknia przybrana z boku. Patrz ryc. 5, 16 i 26 w N-rze 29 Tyg. Mód.

Spódnica podszewkowa zakończona u dołu dwoma, po 7 cent: szerokiemi plisowanemi falbankami, ma fałdowany bryt przedni 40 cent: szeroki, z tyłu dane upięcie którego wymiar przez połowę daje ryc. 5 w N-rze 29. Obydwa bryty *a* złożone do siebie pasując krzyżykiem do krzyżyka i punktem do punktu mają brzeg górny wraz ze złożonym przednim brzegiem bocznym sfałdowany i wszyty w pasek. Od gwiazdki do dołu przyszywają się do bryta *a* bryty *b* z tyłu w środku tylko do 30 zeszyte i dwukropkiem do dwukropka przyczepione na bufie z bryta *a*, zaś górny brzeg wraz z brzegiem tylnym od 1 do 30 sfałdowany na przyszyte haftki do przypięcia na baskinie stanika. Suknia z lewego boku ma przybranie złożone ze skosu aksamitnego, u dołu 30 cent: szerokiego, w górze zwężonego, oszytego z brzegów, lekko namarszczoną koronką 16 cent. szeroką u dołu sfałdowaną wachlarzowo i przepiętą trzema kokardami, z aksamitki 7 cent. szerokiej, w górze zakończa przybranie czwarta kokarda, przysłonięta odwiniętą koronką. Stanik zapinany z boku, ma na prawej połowie przodu naszyty plastron z koronki, zakończony wzdłuż aksamitką; odpowiednie mankiety na rękawach. Rycina 9 przedstawia suknię z fularu w pasy niebieskie białe i brązowe, który zastąpić można perkalem lub zefirem.



N. 6. Suknia z krótkiem vêtement. Patrz ryc. 25 i 31 w N-rze 29.

N. 7—8. Suknia Patrz rycinę 33

N. 9. Suknia z przybraniem z boku. Patrz ryc. 5, 16 i 26 w N-rze 29.

N. 10. Suknia z krótkim stanikiem.

Dla młodych panienek modne są jeszcze szerokie marszczone suknie à la paysanne, bez tuniki tylko z krótką szarfą. Rycina 10 przedstawia suknię z lekkiej białej wełny, zakończoną u dołu szerokim zastębnowanym obrębem. Stanik ma zamiast baskiny podszyty rząd pukli z atłasowej wstążki białej w kolorowy deseń; z odpowiedniego atłasu dany żabot marszczony i zakończenie u pół długich rękawów.

N. 11. Suknia z gładkiem vêtement.

Odrobiona z różowej materyi surah i z białej materyi w pasy kolorowych kwiatów; surah użyta tylko na fałdowany przód sukni i szmizetkę przy vêtement, wyciętem kwadratowo pod szyją. Krótkie przody stanikowe mają podszyte gładkie bryty vêtement, zasłaniające w całej długości spódnicę podszewkową z brzegów przednich podszyte materyą; z tyłu trzy proste bryty sfałdowane przyszyte są szwem odwracanym na pleckach. Kokardy z różowej wstążki dodane podług ryc. 11.



N. 10. Suknia z krótkim stanikiem. N. 11. Suknia z vêtement niepodpiętem.

N. 12. Kapotka z bukietem bzu. Patrz kapotkę na ryc. 8.

Rondko kapotki z brązowej ażurowej słomki, z przodu w środku 9 cent. szerokie wygięte w wysoki szpiczasty ząb, zwęża się ku tyłowi do 2 cent., podszycie stanowi gładka brązowa gaza, zaś całe zagłębienie rondka podgarnirowane jest podwójnie wziętym sfałdowanym tiulem koloru heljotropu. Główka z wierzchu płaska liczy 8 cent. wysokości. Wstążka z pikotami, 9 cent. szeroka, koloru heliotropu skrzyżowana wierzchem główki z tyłu i ściśle sfałdowana, podsunięta pod rondko, rozsuwa się ku przodowi w dwa końce, z których ułożona wysoka kokarda. Bukiecik bzu lila i białego i aurykli przypięty podług ryc. 12.



N. 12. Kapotka z bukietem bzu.

N. 13. Kapotka z bławatkami.

N. 13. Kapotka z bławatkami.

Fasonik z żółtej deseniowej słomki, z główką 6 cent. wysoką, ma płaskie rondko w środku 8 cent. szerokie, pokryte żółtą krepą i czarną koronką chantilly 12 cent. szeroką. Na środku z przodu na druciku ułożone są dwa liście koronkowe, niżej zaś koronka zaszyta w ząb spada na rozetę z wstążki żółtej, przypiętą na środku ronda. Bukiecik z żółtych narcyzów i bławatków. Na końce do wiązania potrzeba 75 cent. wstążki atłasowej.



N. 4. Fartuszek z dwóch chustek, dla dziewczynki patrz ryc. 6 w N-rze 29.

N. 5. Sukienka ze szlakiem haftowanym.

N. 15. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 24 i 30 w N-rze 29.

Na spódnicy atłasowej zakończonej u dołu 7 cent. szerokiem plisowaniem z 18 cent. szerokim wolantem, składanym w kontrafałdy, dana grenadynowa wycięta u dołu w patki 5 cent. szerokie, 7 cent. głębokie Atłas stanowi również podszewkę pod grenadynowe vêtement z atłasową kamizelką, przykrytą plisowaną koronką; kołnierz wykładany i długie ranwersy atłasowe. Krótkie plecy vêtement dopełnione są brytem prostym, którego połowę oznacza *d* na ryc. 30; górne rogi bryta złożone dwukropkiem do dwukropka, zaszyte i puszczone wolno, reszta górnego brzega przymarszcza się ściśle i wszywa w pasek. Brzegi boczne zagłębienia 20 cent. długie, spuszczają przy rozporku sukni, środek zaś marszczy ściśle i przyszywa poniżej rozporka. Pod przyszyciem daje się kilka poprzecznych fałdek i podpina bryt w górę, podług ryc. 24 w N-rze 29. Grelotki z perełek 6 cent. długie, zakończają vêtement i są przyczepione między zębami spódnicy. Kokardy z wstążki repsowej z pikotami, 7 cent. szerokiej.

N. 16 i 25. Bluza z kolorowego perkalu, dla chłopczyka. Patrz ryc. 4 w N-rze 29.

Rycina 4 w N-rze 29 Tyg. Mód daje wymiar bluzy, którą szyje się z kolorowego perkalu; podług *a* krajać przednią i tylną połowę stanu, nie przecinając na ramionach. Z przodu daje się skośne przecięcie, 20 cent. długie na rozporek; zwierzchni prawy brzeg ma przystębnowaną listewkę $3\frac{1}{2}$ cent. szeroką, z dziurkami do guzików, lewy zaś podszywa się wązką listewką. Stan na szerokość dopełniony jest klinem *b*, a u góry przy rękawie dodany ćwikiel *d*; rękaw wymierzony podług *c*, sfałdowany jest u góry i u dołu i wszyty w pasek zapięty guzikiem. Brzegi rękawa zakłada się pod spód, składa równe fałdki zwrócone w jedną stronę (u góry fałdowanie wynosi 7 u dołu 11 cent.) i przestębnowywa w odstępie 1 c. od brzegu. Poczem jak to wskazuje ryc. 25 czubek każdej fałdki odwinięty na dół, przyczepiony niewidocznym, ściegiem, przez co odznaeza się mały trójkątny pasek u ręki liczy $3\frac{1}{2}$ cent. szerokości, $14\frac{1}{2}$ obwodu i jest zarówno jak kołnierz i dolny brzeg bluzy ozdobiony wyszyciem ściegiem luźnym, bawełną kolorową, podług ryc. 25.

N. 22. Blat do konsoli, ozdobiony deseniem wypalanym.

Deseń w guście rococo wypalony był na blacie z twardego drzewa 48 cent. szerokim, 65 długim; ponieważ narysowanie podobnego deseniu wymaga talentu, można zastąpić go arabeskami.

N. 26—28 i 18. Mitenki i rękawiczki.

Rycina 26 przedstawia rękawiczkę ogrodową, uszytą z ceraty, rycina 27 mitenkę z jedwabiu vieil-or zakończoną ażurowemi szlakami a ryc. 28 mitenkę całą ażurową robioną na drutach podług próbki ryc. 18; brzegi obrobione szlaczkiem szydełkowym z pikotów i słupków, do przewleczenia wązkiej kolorowej wstążeczki.

N. 30—31. Kamizelka koronkowa z paskiem.

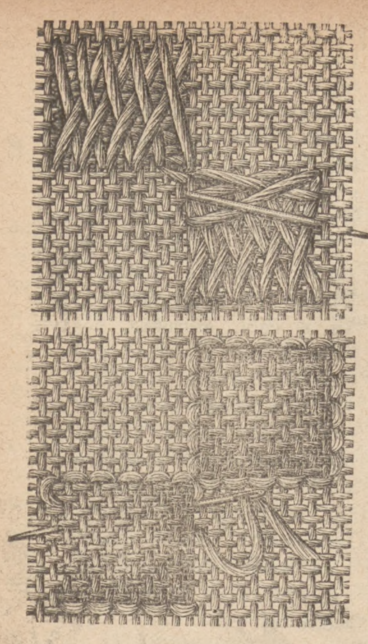
Fason kamizelki, pasek i kołnierzyk krają się najpierw ze sztywnego tiulu lub sztywnego muślinu wziętego skośnie; kołnierzyk jest 4 cent. szeroki, podstawa kamizelki liczy 42 cent. długości środkiem, w gó-



N. 14. Suknia z krótką draperją. Opis przy ryc. 1 w N-rze 29.

N. 15. Suknia z vêtement patrz ryc. 24 i 30 w N-rze 29.

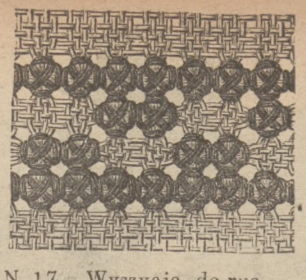
rze 14, w pasie 8 u dołu 11 cent. szerokości. Środek kołnierza z przodu i kamizelka pokryte są drobno sfałdowaną krepą koloru crême; brzegi boczne zakończa 20 cent. szeroka koronka zmarszczona i ufałdowana wachlarzowo, która u dołu zawrócona jest w około paska z wstążki szkockiej i tworzy karoczek, zapięty pod sutą kokardą. Kołnierzyk pokryty wstążką zakończoną koronką zapina się także z tyłu pod kokardą, podług r. 31.



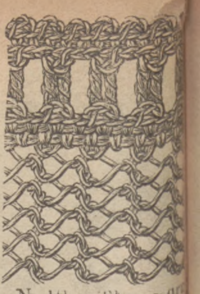
N. 19—20. Wyszycie ściegiem, point d'armes. Strona prawa i lewa. Patrz ryc. 32.



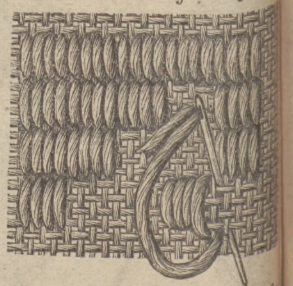
N. 16. Bluza perkalowa dla chłopczyka, szlaczek patrz ryc. 25; wymiar ryc. 4 w N-rze 29.



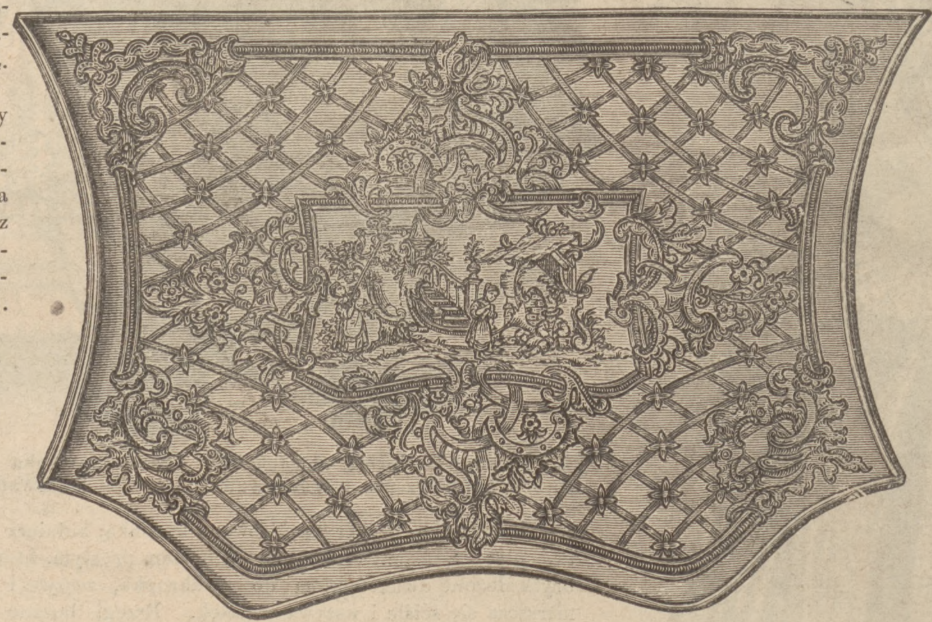
N. 17. Wyszycie do ryc. w N-rze 29.



N. 18. Tło na dr... tach i szlaczek szy... dełkowy do ryc. 2...



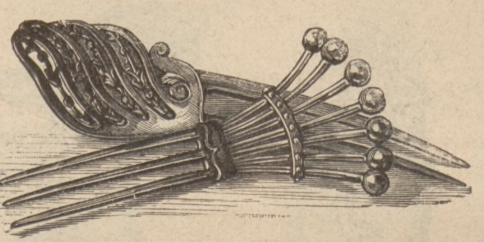
N. 21. Ścieg gobelinowy d... ryc. 32.



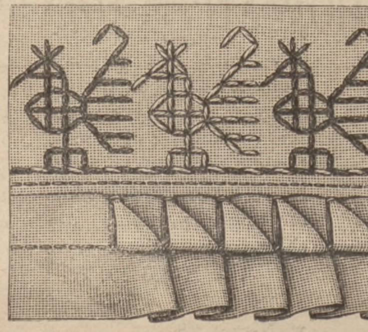
N. 22. Blat do konsoli z deseniem wypalanym.

N. 32 i 19—21. Kapa na łóżko.

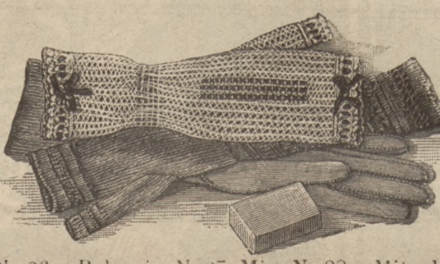
Gruba żółtawa kanwa kongresowa służy na tło kapy ryc. 32, 162 cent. szerokiej a 180 długiej. Wązkie i szerokie szlaczki z kwadracików i cyfra wyszyte są ściegiem zwanym point d'armes, którego prawą i lewą stronę wskazują ryc. 19 i 20. Każdy kwadracik zajmuje 10 nitek w kwadrat; w literach gdzie długość ściegów przenosi wysokość dwóch kwadratów, najdłuższe ściegi wyszywa się na końcu i przytrzymuje małemi poprzecznemi. Wązkie paski szlaku 5 cent. szerokie, liczą trzy rzędy kwadracików, szeroki pas liczy 9 rzędów. Wszywkę robotą szydełkową i koronkę brzeżną odrabia się podług ryc. 19—21 i ryc. 19 w N-rze 29. Dwa zwierzątka z boków cyfry i szlaki haftowane są ściegiem gobelinowym, wskazanym na r. 21; każdy ścieg zajmuje wzdłuż cztery nitki tła i cztery ściegi równają się jednemu krzyżykowi deseniu.



N. 23—24. Grzebyki szyldkretowe.



N. 25. Szlaczek do ryc. 16.



N. 26. Rękawiczka ogrodowa z ceraty. N. 27. Mitenka jedwabna. N. 28. Mitenka ażurowa robiona na drutach patrz ryc. 18.

Przepisy gospodarskie.

Maliny.

Konserwa z malin jest jedną z najsmaczniejszych i najwięcej poszukiwanych z powodu aromatu swego. Nigdy konfitura z malin



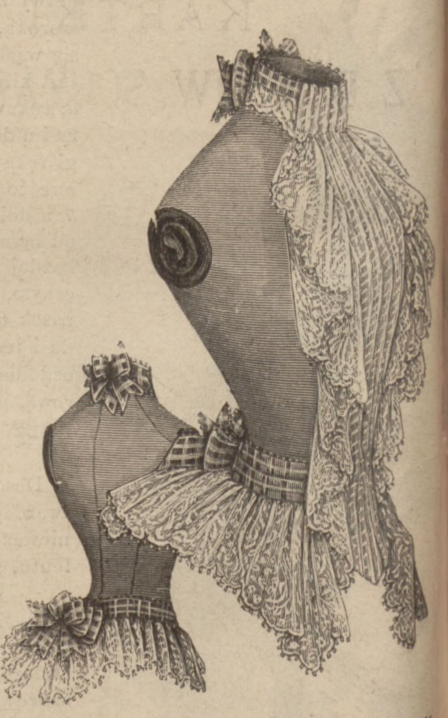
N. 29. Suknia z vêtement, patrz ryc. 2, 27 i 32 w N-rze 29.

a nawet galareta nie może zachować tyle zapachu ile go posiada konserwa, przysposabiać je można trojakim sposobem.

1. Wybrać piękne zdrowe maliny z robaczków i układać w kompotierę, gdy będzie pełna (nie trzeba utrzasać jak inne owoce żeby się maliny nie potłukły) zalać gęstym zimnym syropem obwiązać pęcherzem i ustawić w kociołek z wodą obłożywszy sianem jak zwyczajnie, gotować się powinny na wolnym ogniu, rachując od zagotowania wody minut 15 nigdy więcej.

2. Drugi sposób bardzo podobny, pierwej nalać w kompotjerę syropu zimnego do połowy, a dopiero maliny w ten syrop po jednej wrzucać, aż będzie pełno a syro... stanie na wierzchu malin, dalej jak po... przednio. Oba te sposoby są doskonał... trzeci jednak podług którego robią w Bor... deaux, jest najlepszy, chociaż nieco am... barasowniejszy.

3. Po wybraniu malin zważyć je i zro... bić syrop, biorąc na funt malin funt cu... kru. Gdy syrop już jest prawie tak gę... sty jak do konfitur, wrzuca się na wrzą... syrop maliny, trzymając je na ogniu mi... nut pięć od wrzucenia, nigdy dłużej, p... pięciu minutach maliny powinny już do... skonale puścić sok a na powierzchni będą szumowiny, te bibułą jak przy konfiturach zdjąć ostrożnie, a maliny zo... stawić spokojnie w naczyniu póki nie ostygną, wtedy łyż... ką srebrną nakła... dać ostrożnie w kompotiery zo... stawiając równie jak w surowym owo... cu dwa cale słoik... z wierzchu puste. Dalej postępuje się jak poprzednio, równie szczelnie pęche... rzem obwiązując i gotując od zagotowa... nia wody minut 15. Tym sposobem ro... biona konserwa z malin nie zatrzyma tak całości owocu jak dwoma poprzedniemi, ale zachowa piękniejszy kolor i smak do...



N. 30—31. Kamizelka koronkowa z pa... skiem.

skonały. Z białych malin nie robią kon... serwy, gdyż te zapachu nie dają.

Wszystkiemi temi sposobami robione, można gotować w piecu od angielskiej kuchni, lecz lepiej w wodzie.



N. 32. Kapa na łóżko. Ścieg gobelinowy, point d'armes i robota szydełk. Patrz r. 19-21 i r. 19 w N. 29.